

A. K. GREEN.

# Dom pod szumiącymi sosnami.

(Ciąg dalszy).

11

„Stąd oto te trzy stłuczone kieliszki, które na stole znaleziono. Gdyby siostra nie była umarła owej nocy, jabym się z tego teraz śmiała! Przeklinam... przeklinam tego jej Ranelagh'a, a czasem i samego siebie!

„Czy czego więcej odemnie potrzeba? Bo jeżeli nie, to mnie pilno do domu!

Wyższy sędzia śledczy, który dotąd siedział bez ruchu, słuchając, podjął ze stołu zapisany arkusz i przejrzał go spiesźnie.

— Bardzo mi przykro — przemówił — ale będę musiał zatrzymać pana jeszcze na chwilę. Co się stało po obiedzie? Dokąd się pan udałeś, wstawszy od stołu?

— Poszedłem palić do mego pokoju. Wzburzony byłem i pić pragnąłem, jak ryba.

— Czy miewa pan napoje w swoim pokoju?

— Czasami.

— A owego wieczora?

— Ani kropelki. Nie śmiałem. Miałem ochotę na tę napoczętą butelkę szampana, ale Adela mnie wyprowadziła. Kazała ją wyrzucić, czy wylać — tak, zdaje mi się, że kazała ją wylać.

— Więc nie piłeś pan? Pan tylko paliłeś w swoim pokoju?

— Wypaliłem jedno cygaro. Tylko jedno. A potem poszedłem do miasta.

Odpowiadał chmurno; wzruszenie, co go tak podnieciło przed chwilą, teraz opuściło go zupełnie. Zagaśli wzrok jego, zacięły się przykro usta, a z twarzy uszło naraż do wszystko, co mogło go sympatycznym uczynić.

— Bądź pan łaskaw podać, którymi drzwiami wyszedłeś z domu?

— Bocznem wyjściem, tak jak zawsze.

— A jakie okrycie miałeś pan na sobie?

— Nie pamiętam. Pierwsze lepsze zapewne; jakie mi w rękę wpadło.

— Ale pan chyba pamięta, jaki pan miał kapelusz?

— Nie, nie pamiętam — krzyknął gwałtownie — Cóż mój kapelusz może mieć wspólnego z winą Elwoode Ranelagh?

— Nic prawdopodobnie — odpowiedział sędzia niezmieszany — nam jednak zależy na dokładnem stwierdzeniu, jakie okrycie i jaki kapelusz miałeś pan wtedy, idąc do miasta.

— Powiedziałem już panu, że ja tego nie pamiętam.

Młodzieniec poczerwieniał na twarzy.

— Czy to nie te przypadkiem? — zapytał wyższy sędzia, dając znak Sweetwaterowi, który się też natychmiast wysunął, niosąc stary, wytarty paltot i zgniecioną czapkę dżokejkę.

Młodzieniec drgnął, powstał, usiadł znowu i krzyknął z gniewnym naciskiem:

— Ależ nie!

— Ale pan poznaje te rzeczy?

— Dlaczego nie miałbym ich poznać? To są moje rzeczy. Ale ja ich już nie noszę. Dawno je wyrzuciłem. Musieliście je wyciągnąć z jakiegoś schowania.

— To prawda; może nam pan powie z którego schowania?

— Ja? Ja nie wiem. Skądże ja mogę wiedzieć, co się dzieje z moimi starymi rzeczami? Zostawiam to kobietom.

Bardzo lekko zająknął się przy tych słowach.

— Panie Cumberland — rzekł wyższy sędzia z wielką powagą — tę czapkę i ten płaszcz, chociaż zniszczony, miał na sobie ktoś, kto wyszedł z pańskiego domu owej nocy. To wiemy z zupełną pewnością. Wiemy nawet, że w tych rzeczach był w klubie.

Machinalnie, już nie tak porywczo teraz, młodzieniec powstał i popatrzył najpierw na mówiącego a potem na ubranie, które Sweetwater wciąż przed nim prezentował. Nie unosił się gniewem teraz; tak nim to wstrząsnęło, że ani odpowiedzieć nie mógł na razie, ani opanować twarzy i postawy.

Ochłonął jednak po pewnej chwili, pod badawczym wzrokiem tych trzech ludzi, pożerających oczyma twarz jego niespokojnie i ciekawie.

— Ja nic o tem nie wiem.

Tymi słowy Artur Cumberland starał się wyknąć z tej sieci, którą nań tak podstępnie zastawiano.

— Ja tych rzeczy nie miałem na sobie. Wszyscy

mogą powiedzieć, w jakich rzeczach wróciłem do domu. Może Ranelagh pożyczyl...

— Ranelagh miał na sobie własny płaszcz i kapelusz. Zostawmy teraz kwestyę ubrania na boku i przejdźmy do przedmiotu, o którym nam pan coś więcej będziesz mógł powiedzieć. Panie Cumberland, pan nam powiedziała, że nie wiesz i nie pamiętasz, gdzie spędziłeś ową noc i część następnego ranka, że pamiętałeś tylko, iż byłeś w takim miejscu, gdzie pozwolono ci pić do upadłego i zostać, jak długo chciałeś. Nie było to żadne z tych miejsc, gdzie pan zazwyczaj pijałeś. To nam się wtedy dziwnem wydawało; po tem zdarzeniu przy stole, które nam pan opowiedziałeś, rozumiemy teraz lepiej. Bałeś się pan, by siostra pańska się nie dowiedziała, że tak prędko mogłeś zapomnieć wrażeń owej chwili. Chciałeś pan pić potajemnie. Czy nie mam słuszności?

— No tak; to przecież dość jasne, Boże mój! Czemu pan znowu o to potrąca? Czy pan nie widzi, że to mnie do szaleństwa przywodzi? Czy chciałby pan, żebym się rozpił na nowo?

Tu wchodził się dr. Perry. Bardzo on chętnie zostawił ciężar przykrego badania w rękach obojętnego człowieka; ale słysząc ten krzyk oburzenia, wysunął się naprzód i tonem ojcowskiej perswazyi zauważył dobrotliwie:

— Nie czuj się dotkniętym urzędowym tonem i urzędowym badaniem, Arturze. Wszystko, co pan Fox mówi, ma swoje uzasadnienie. Odpowiadaj mu szczerze, a przesłuchanie skończy się prędko. Przecież nie chcemy cię dręczyć, chcemy dotrzeć do prawdy jedynie.

— Doprawdy? Ja myślałem, że prawdę już znaleźliście. Prawda? Do czego właściwie? Czy Ranelagh, czy ja? Tak, jakby tu o mnie chodziło, po rodzaju pytań sądzić!

— Na razie też chodzi o pana — odezwał się znów Mr. Fox, gdy kolega jego znowu w cień się cofnął. — Pan nie możesz sobie przypomnieć, w jakim lokalu pan piłeś. To ostatecznie możebne; ale może pan pamięta, co oni panu dali do picia. Czy whisky, czy rum, czy absynt, czy co?

To pytanie zniechęcało słuchającego. Artur westchnął i wzrokiem poszukał życzliwego spojrzenia doktora Perry. Twarz starego przyjaciela jednak ukryta była w cieniu i młodzieniec nie znalazł w niej pociechy ani zachęty.

— Piłem... absynt — odpowiedział po dłuższym namyśle.

— Czy z tej butelki? — zapytał Mr. Fox i skinął znowu na Sweetwatera, który przedstawił znalezioną w Cuthbert Road butelkę.

Artur Cumberland popatrzył na butelkę, którą mu detektyw podsunął, zobaczył markę, zobaczył kształt i opadł, jak podcięty na krzesło, z szeroko rozwartymi, zestrachanymi oczami.

— Gdzie pan to znalazł? — zapytał, z rozpaczym wysiłkiem, opanowując się napozór.

Wyższy sędzia śledczy odpowiedział:

— Znaleziono tę butelkę w małym zajeździe na Cuthbert Road, tam gdzie się kończą hale targowe.

— Ja nie znam tego lokalu.

— To blisko domu pod Szumiącymi Sosnami. Widzi się budynek klubu z progu drzwi tego zajazdu.

— Ja nie znam tego zajazdu, jeszcze raz panu to mówię.

— To nie żaden elegancki lokal; bynajmniej nie tak wykwintny, żeby napoje tej marki mógł mieć w swojej piwnicy. Powiadają, że to ma być wyborowy gatunek. Że mało kto sobie na taki pozwala. Że tylko dwie butelki tego zostały w piwnicy klubu, gdy po raz ostatni robiono inwentarz i że te dwie butelki zginęły i że...

— I że to jest jedna z tych dwóch? Czy to pan chciał powiedzieć? No, to bardzo może być. Ja jej tam nie zaniósłem. I ja z niej nie piłem.

— Widzieliśmy gospodarza i gospodynię tego zajazdu. Oni powiedzą, jeśli ich zapytamy.

— Doprawdy? No, to panowie musicie być kontenci. Ja z tą całą sprawą nie mam nic wspólnego.

Zaszła w nim zmiana. Drażliwość, wciąż grożąca wybuchem, ustąpiła. Mówił spokojnie, z odcieniem ironii w głosie. Więcej męskim był teraz, ale nie robił korzystniejszego wrażenia i raczej mniej budził zaufania, niż pierwej. Znać było po wyższym sędzim śledczym, że jest strapiiony, a dr. Perry niespokojnie kręcił się na krześle. Dopiero Sweetwater, wystąpiwszy naprzód, z kolei przemówił i to po raz pierwszy ujmując w ręce badanie.

— Jeżeli tak, to nie zechce nam pan odmówić wielkiej uprzejmości — zaczął jak najgrzeczniej wświecie. — To stąd niedaleko. Czy nie poszedłby pan tam ze mną, podniósłszy wysoko kołnierz od paltota i spuściwszy dobrze kapelusz na oczy; tam poprosiłby ich pan o miejsce w alkierzyku i pokazałby

im pan tę butelkę. Nie poznają, że ona pusta. Mąż jest bystry a kobieta inteligentna. Zobaczą, że pan jest obcy człowiek i wpuszczą pana chętnie. Oni się tylko jednego człowieka boją — tego, który tam pił tej nocy, gdy siostrę pańską zamordowano.

— Jesteś pan... — zaczął Artur Cumberland z porywem poprzedniej gwałtowności; spostrzegłszy się jednak widocznie, że schwytany jest w zasadzkę, opanował się i już spokojniej mówił dalej:

— To bardzo dziwne żądanie. Widzę, że tu słowa moje nie znajdują wiary... Czyż moje wady temu winne i czy to moje otwarte przyznanie się, w jak obrzydliwy sposób spędziłem ową noc, sprawiają, że panowie już nic pocziwego nie widzą we mnie? Że macie mnie za kłamcę i krętacza? Ale ja nie jestem taki. Nie pójdę z panem do tej pijackiej nory, chyba że mnie przymusicie, ale gotów jestem przysięgnąć...

— Nie przysięgaj pan — odezwał się dr. Perry. — Nie uwierzemy ci, a dodasz jeszcze krzywoprzysięstwo do reszty.

— Nie uwierzycie mi, panowie?

— Nie — mamy do tego przyczyny, mój chłopcze. Były tam dwie butelki.

— I cóż stąd?

— Drugą znaleziono w pobliżu twego domu.

— To jakiś podstęp. Panowie zabawiacie się w jakieś podstępne sztuczki...

— Nie w tym wypadku, Arturze. Słuchaj, zaklinam cię na pamięć ojca twego, bądź z nami szczerzy. Uwięziliśmy człowieka. On twierdzi, że jest niewinny, ale nie może dostarczyć żadnego świadka na poparcie tego. Ale świadkowie tacy mogą być. I w istocie przypuszczamy, że taki świadek istnieje. Człowiek, który zabrał butelki z piwnicy klubowej, uczy, ni! to o kilka minut przed lub po tym czasie, gdy na siostrze twojej zbrodnię popełniono. Ten człowiek mógłby nam dać cenne świadectwo przeciw Elwoodowi Ranelagh albo też za nim. Otóż teraz wieszdlaczego poszukujemy tego świadka i dlaczego musimy, że możesz nam dopomóc do rozwikłania tej zagadkowej i niezwyklej sprawy. Mów szczerze, a dalej pytać nie będziemy. Ale tak, jak się stawiasz, szkodzisz sam sobie. W naszej opinii możesz tylko wzbudzić podejrzenie, że ciąży na tobie coś więcej, niż zaniedbanie obowiązku złożenia świadectwa, jako nowy i dotąd niepodejrzany świadek.

— To okropne!

Młody Cumberland stał teraz i chwiał się przed nimi, jak człowiek ugodzony w głowę aż do utraty przytomności.

— Boże! Czemu ja nie umarłem tamtej nocy! — szepnął. — Nie podnosił oczu od ziemi; każdy muskuł w nim drgał pod ciosem tych ostatnich słów okropnych.

— Doktorze Perry — jęknął nagle i wyciągnął rękę błagalnie, podczas gdy drugą chwycił, szukając oparcia, kant stołu. — Pozwól mi pan już odejść dzisiaj. Pozwól mi się zastanowić. Taki mam zamęt w głowie! Będę chciał jutro odpowiedzieć...

Mówiąc to jednakże, sam poznał błahość swej prośby. Spojrzał znowu na butelkę i pomyślał, że to przecież świadek, który mówić będzie przeciw niemu, jeżeli on sam zamilczy.

— Nie, nie, nie odpowiadaj pan — ciągnął dalej, przytrzymując się stołu. — Zawsze głupcem byłem i teraz także jestem. Już wolę wyznać prawdę. Niech raz temu będzie koniec. Ja byłem w domu klubowym. Wykradłem butelki z piwnicy. Wyniosłem je, by mój się w spokoju uraczyć i poszedłem gdzieś do jakiejś dziury na Cuthbert Road. Wyznałem to, ale to też już jest i wszystko. Niczego więcej do powiedzenia nie mam. Nie wiem nic o morderstwie mojej siostry: nie wiem nic, co się działo na górze. Dostałem się przez otwarte okno nad kuchennymi schodami i tamtędy też wyszedłem. Chodziło mi tylko o ten napitek, a gdy go raz zdobyłem, wysunąłem się, jak mogłem najprędzej i poszedłem terenami gry w golfa ku drodze.

Ocierając pot z czoła, stał, drżący cały. Sweetwater pragnął być o sto mil od tej sceny. To była niewesoła część jego roboty.

— Wszedłeś pan przez otwarte okno — zaczął znów Mr. Fox. — Dlaczego nie drzwiami?

— Bo nie miałem klucza. Ten tylko zdjąłem z kołka, który otwierał piwnicę. Resztę zostawiłem. To właśnie widok tego klucza na stole w sieni nasunął mi tę myśl. Wstyd mi, gdy o tem myślę, ale o to teraz nie chodzi. Bardzo mi tylko zależy na tem, żebyście mi panowie uwierzyli. Nie byłem wmieszany w sprawę morderstwa mojej siostry. Nie wiedziałem o tem, co się na górze dzieje i bardzo żałuję, że nie wiedziałem. Może byłbym mógł Adela wyratować!... Ale już widać tak było sądzone.

Zarumieniony z wolna opadł znów na krzesło. Teraz już się nie skarżył, że mu spieszo, że pilno